N^er 19. **Kraków 1 października 1868.** **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Dla Pren. mody załącza się przy dzisiejszym nrze: Rycinę kolorowaną mód i ubiorków — podwójny arkusz krojów **w naturalnéj wielkości** obejmujący: Paletot Garrick, Pal. Alabama, Sukienka dla dziewczynki, Płaszcz, Pal. Epingle, Talma, Pal. Bienvenu, Sukienka dla chłopca.

O poezyi lirycznéj

na podstawie liryki greckiéj

(wykład publiczny miany w sali Tow. nauk. krak. d. 1 kwietnia 1868)

przez *Alfreda Szczepańskiego.*

(Dokończenie.)

To znaczenie formy, kształtu, w sztuce, w poezyi jest tak wielkie, że nieraz rzecz sama przez się wstrętna, może być pod jéj czarem bez przykrości oglądaną. W dramatach widzimy bardzo często charaktery moralnie złe, a wymagania estetyki nic nie mają przeciw temu. Idzie tylko o to, żeby pojaw ich był zgodny z prawdą, ale oczyszczony z powszednich obrzydliwości, i żeby to, co uznajemy za dobre, nie było narażone na pośmiewisko lub krzywdę wobec potęgi obrazów złego; żeby uroku zewnętrznych ponęt nie nadużyć dla osłonięcia moralnéj ohydy. Romantyczna szkoła francuzka, do któréj zrazu i p. George Sand, należała, grzeszyła właśnie tém w powieściach swoich, że wszelkim moralnym i społecznym zboczeniom, chcąc je wysondować jako rany, nadawała zapomocą wdzięku stylu, obrazów i sytuacyj tyle uroku, że wszelkie złe namiętności występowały jakby w aureoli, obałamucały pojęcia i zatruwały serca czytelników. Złe nie przestało tam być złém, ale urok estetycznego piękna opromieniał je tak, że nieraz najgłębszy upadek moralny wydawał się bohaterstwem. Ze względu więc na ten urok i wpływ zewnętrznego kształtu potrzeba, żeby ze świata ideałów złych prowadziła zawsze bodaj jedna maleńka furtka do światów lepszych: harmonii i dobra.

Cóż może być np. wstrętniejszego jak widok przewracającego się pijanicy? A jednak, kiedy w jednym wierszu Petöffi'ego woła pijany Węgier: …„Wina! hej gąsior z czerwonemi łzy… Aże w rozpaczy ja smutkowi memu, Do stóp się zwalę“…, to mamy przed sobą wspaniały obraz przedstawiający dziką jakąś, lwią siłę namiętności, i poza urokiem obrazu nie zwracamy już uwagi na moralną brzydotę pijaństwa — zwłaszcza, gdy widzimy, że jest to rozpacz patrioty. Ten ostatni motyw drgający w głębi — oto właśnie owa wspomniana furtka.

Otóż i pod tym względem, pod względem formy w poezyi, różnimy się dzisiaj wielce od Greków. Dzisiaj jest ludzkość daleko starszą, nerwy nasze są więcéj stępione, napatrzyliśmy się już i osłuchali do syta, więc potrzebujemy w poezyi nierównie więcéj korzennéj przyprawy, potrzebujemy blichtru, szychu i pstrocizny — nie przemówią do nas wiersze, jeżeli nie będą posypane złotym pudrem. Jest to odnośnie do Grecyi takie przeciwieństwo, jak sztucznych przysmaków francuzkiéj kuchni do tłustego uda z wołu, który sobie bohaterowie Homera sami przy ogniu piekli. W Grecyi był człowiek młodszym, przyroda jego nie była ani nadużytą, ani zużytą, — możnaby powiedzieć, że wówczas słyszeli ludzie po raz pierwszy dopiero z ust poetów o dziejach własnych swoich uczuć i myśli! Więc wystarczyło nazwać je tylko po imieniu, aby już głos ich znalazł drogę do serc; wystarczyło pokazać prawdę nagą, bez sztucznych, toaletowych przyborów stylu — aby się pięknością jéj zachwycano; a co najwięcéj, to zarzucić na nią fałdzistą tunikę równie prostego jak wytwornego rytmu. Dlatego to w poezyi greckiéj jest wysłowienie pojedyńcze, obrazy naiwnie proste w porównaniu z tém, do czegośmy dzisiaj przywykli.

Najmniéj jednak warunki piękności pozostały i dzisiaj w zasadzie te same — i poczucie tych warunków należy w sobie pielęgnować i rozwijać. Postać krynolinowa z szynionem i korkami, nie wytrzyma nigdy porównania z dziewczyną wiejską w białéj koszulce i bosą, Telimena idzie w kąt obok Zosi, jedna leśna konwalija zaćmi cały bukiet ogrodowy… Te warunki piękności stanowią właśnie wdzięk np. Lirenki Lenartowicza, którego pieśni są to jakoby dzieci swojego chowu. — Zresztą, że powab prostoty nie stracił nic na swojéj mocy, przekonujemy się o tém, ilekroć człowiek otwarciéj się wyjawia, ilekroć ogarnięci żywszém uczuciem zrzucamy z siebie więzy konwencjonalności i wyzwalamy się! Wtedy to proste słowo odzyskuje całą swoją potęgę nad nami, wtedy prawda sama przez się porywa nas i zapala, wtedy przekonujemy się najlepiéj, że poezja liryczna jest istotnie je-

dném z zwierciadeł ducha, ustroju i życia narodu, a stąd wynika daléj, że ogromne jest jéj społeczne znaczenie i cywilazacyjny wpływ. Dla uprawy serc i obyczajów jest poezija i muzyka tém, czém stała się dla cywilizacji ogólnéj bogini Ceres, gdy zstąpiwszy na ziemię, nauczyła ludzi uprawy roli i przywiązala ich przez to do stałych mieszkań.

Grecy złożyli po swojemu świadectwo tego wpływu w podaniach, w mitach religijno-poetycznych: Kiedy Orfeusz grał, dzikie zwierzęta i kamienie tańcowały; gdy Arion wyrzucony w morze śpiewał konając, zasluchane delfiny uniosły go i uratowały na swoich grzbietach; — śmierci poety Ibikusa pomściły żórawie *), których wzywał w ostatniéj godzinie i t. p. Niepośledniejsze są i dzisiaj przykłady takiéj potęgi, a dosyć tu wspomnieć na majestatyczność prostoty i historyczne znaczenie owych pieśni jak marsylijanka, albo nasza pieśń legijonów, albo nareszcie na trwałość upowszechnionych religijnych pieśni, które u wszystkich narodów są jednako naturalne, rzewne a wspaniałe....

Ten to charakter prostoty, powagi, jasności i jędrności nosi na sobie najszczytniejszy może z rodzajów liryki greckiéj, to jest liryka polityczna. Któż nie słyszał o Solonie...? Kiedy zakazano w Atenach i wspominać o wojnie dla odzyskania utraconéj wyspy Salaminy — Solon udając obłąkanego wychodzi na rynek, wygłasza elegją bojową, porywa naród i do zwycięztwa usposabia. Któż nie słyszał o Tyrteuszu, kulawym wodzu, którego pieśni były komendą! Utwory te są dla nas bardzo sympatyczne, natchnieniem jest tam najczęściéj ucisk kraju i miłość ojczyzny, i wyglądają nieraz, jak gdyby były dzisiaj i dla nas pisane. Więc przytoczę tu kilka obszerniejszych wyjątków:

Kallinus **).

Dokądże martwéj duszy młodzieńce
Dokąd téj ciszy podléj! —
W obec sąsiadów wstydu rumieńce
Czołaż wam nie ubodły?
Czyliż myślicie gnuśnieć w pokoju
W leniwéj wciąż sromocie —
Kiedy ojczyzna woła do boju
Przez wolnych piersi krocie.

* * *

Nawet konając ciśnij twym grotem,
Bo zacnie to jest dla męża,
Gdy za ojczyznę, żonę i dzieci
Przeklętych wrogów zwycięża
Jak komu padło, śmierć ludzi zmiata
I nikt jéj uciec nie zdoła,
Od nieśmiertelnych choćby szedł dziadów;
Więc spiesz, kiedy kraj woła.

Patrz, jak niektóry ukrył się w domu
Tchórz — kiedy chrzeszczą oręże —
Ale nie umknie, bo śmierć go nawet
Na miękkich puchach dosięże.
I będzie pełen hańby i sromu
Ani poczestny wśród ludu,
Zasię w poczciwéj jego pamięci
Kto krwi nieszczędzi i trudu.

Ten kiedy zginie żal go przeżyje,
Żyw — jako półbóg czczony —
Bo jako wieża stał on obronna —
Wielki więc uwielbiony.

Tyrteusza elegija II.

Niezłomnego Heraklesa dzieci,
Nabierzcie serca! Zeus łaskaw jeszcze —
Niech nas nie trwożą te wrogów tłumy,
Poskromcie takiéj bojaźni dreszcze!
Tarcze do góry — stajcie w szeregi,
Oddajcie życie — bo skonu czarna
Chwila, największa, — chwila ofiarna.
O wy już znacie żałosna dziatwo!
Aresa, sprawcy łez, straszne dzieła;
Wyście slyszeli głuche: „stracona“ —
A znowu potem: „o nie zginęła“!
Wiecie, że ci co walcząc na przedzie,
Wstępnym na wroga nacisną bojem:
Sami nie giną, wszystkich obronią —
I godni pieśni, jak wielcy woje;
Znów, że języka człeku nie starczy,
By wypowiedzieć całą ohydę,
Gdy tchórz ucieczką się zesromoci,
I wróg mu w grzbiecie utopi dzidę.
Jakże szkaradny trup z taką raną
Nie pogrzebaną, nie przepomnianą.
Niech się więc każdy przyprze do ziemi
Nogami, zębem w wargi się wpije,
I niechaj uda, piersi i barki
Szerokiéj tarczy płaszczem zakryje.
W prawéj niech śmiga potężną dzidą,
I niechaj hełmem na głowie wstrząsa,
Niech się wśród zwycięztw przyucza wojny,
Tarczą się słoni, pociskiem kąsa.

---

*) Patrz balladę Schillera: „Die Kraniche des Ibikus“, osnutą na tém podaniu.

**) Urywek elegii.

Urywek 15 i 16.

....Dalej dzieci mężnej Sparty,
Na wojenne tańce!
Wolnych ojców wy wnukowie,
W lewej z tarcz podnieście szańce,
W prawej dzidy i nietrwożni
Nieście życie śmiało;
Lękać! o tego w Sparcie
Nigdy nie bywało.

Tyrteusza elegija 10.

O jakżesz pięknie kiedy mąż dzielny
Za swą ojczyznę walczący padnie!
Gdy zaś opuścił kto starą chatę,
Rodzinną ziemię, jakżesz szkaradnie!
Gdziekolwiek zajdzie z ojcem i matką,
Z dziećmi i z żoną, błądząc po świecie,
Wszędy dłoń wrogi, wszędy go ucisk,
Nędza i hańba sromotna gniecie.
I ród swój kala; w podłej włóczędze,
Wzgarda go ściga i złorzeczenia,
Nigdzie współczucia dłoń, ni litości,
Nigdzie spoczynku, nigdzie wytchnienia.
Więc za tę ziemię naszą, za naród
Walczmy młodzieńcy, odważnie, stale,
Zadusmy wszelki bojaźni zaród,
A przeważymy zwycięztwa szale.
Starsi w narodzie niechaj w pokoju
Zostaną, ciężcy swoją starością,
Bo gdy im trzeba jeszcze do boju,
To coś źle słychać z młodych krewkością.
Toż hańba młodym, gdy łyse głowy,
Gdy siwe brody w krwi, w prochu leżą,
Gdy rześcy, zdrowi gdzieś w tyle stoją,
A starców ciała wrogów grabieżą.
Naprzód młodzieńcy! póki nie zwiędnie
Świeży kwiat życia, nieść go w ofierze:
Wielkiś — gdyś dzielny, niewiast kochanku,
Pięknyś — gdy padniesz, o bohaterze!

Solona elegija 4.

Nie zginie ojczyzna nam z Zeusa niełaski,
Nie zginie za bogów nieśmiertelnych sprawą;
Bo piorunowładzcy wielkoduszna córa
Ręce nad nią trzyma, napełnia ją sławą.
Lecz sami rodacy w swoim bezrozumie
Wielką matkę gubią, zgadzając chciwości,
Przewódzcy to grzeszą, i wielka ich czeka
O straszna na żądze sromota w przyszłości.
Rozpasanej wolności nie umieją wstrzymać,
Nie umieją miarkować radości obecnych,
Bogacą się w bezprawnych praktykach brodzący,
Nie dostoi skarb świątyń w obec zbrodni niecnych,
Wszelkie dobro narodu na wyścigi szarpią,
I nie święcą Diki *) zacnego zakonu —
A ona milcząc liczy obecne i przeszłe:
Do wymiaru — gdy przyjdzie po siejbie czas plonu.
Tak to na ojczyznę nieszczęścia się srożą,
Podłość, służalstwo ogarnia ją prędko,
Budzą się zwady i bratnie rozterki
I pochłaniają młódź chwiejną i giętką.
W wirze się stronnictw wstrząsa państwo całe
I tryumfują złych plany zuchwale.
Naród zawichrzony, a biedaków tłumy
Sprzedane i w kajdany niewoli zakute,
Gwałtem pędzone, w obcej ziemi giną
Nędzne, zgłodniałe, z swobody wyzute.
O! złe wewnętrzne w każdy dom się wciśnie,
I żadne drzwi mu zaporą nie stoją,
Choć się kto skryje, ono go wynajdzie;
I takie rany nie zaraz się goją.

Groźnie o tém was przestrzedz duch mi rozkazuje;
Że największe złe w państwie to swawola rodzi.
Zasie praw szacunek nikczemników więzi,
Wszędy ład wprowadza, co zwaśnione godzi,
Szorstkie równa, hamuje złość, a dumę zniża —
Bałamuceń ziarna wytępia, wypala,
Prostuje zboczenia praw już zepsowanych,
Na żadne uroszczenie, wdzierstwo niepozwala,
Wszelkim bratnim rozterkom tak zawady stawia;
Że pod jego władzą wszystko w świętej zgodzie
I wedle słuszności w państwie się odprawia.

Zaprawdę trudno o potężniejsze i więcej wpływowe słowa, zwłaszcza jeżeli pamiętamy, że nie były one pisane, ale wprost do narodu m ó w i o n e. Niewiele rzeczy takiej wagi wykazuje literatura powszechna: w hebrajskiej znajdziemy je w wołaniach J e r e m i a s z a, w rzymskiej w satyrach J u v e n a l i s a, a w polskiej w K r a s i ń s k i e g o psalmach.

Tak więc na podstawie liryki greckiej starałem się uzasadnić estetyczną teorją poezyi lirycznej, wykazać jej znaczenie i cywilizacyjny wpływ. Oczywiście w pogadance godzinnej nie można było lać z pełnego dzbana, jakim jest ten przedmiot, a zaledwo się dało co nieco iskrami przed oczy popruszyć. Należało tu pomówić koniecznie o c h ó r a c h w dramatach greckich, które tam

*) Bogini sprawiedliwości.

są żywiołem lirycznym, i w których wszystkie rodzaje liryki odnajdujemy. Jest to jednak przedmiot sam dla siebie obszerny, mogę więc tylko odesłać w tym względzie do przekładów dramatów greckich i przypomnieć chór z Oedyppa, opiewający piękność doliny Ateńskiéj oddany przez Krasińskiego jego rytmiczną prozą.

Na zakończenie jednę tylko jeszcze dorzucę uwagę: Dzisiaj, gdy nauki przyrodnicze odzyskują po słuszności przynależne sobie miejsce tak w hierarchii nauk, jak i w systemacie wychowania publicznego — odbywa się zarazem w opinii publicznéj nieuzasadniona reakcja przeciw naukom klasycznym. Ojcowie i matki narzekają, że w gimnazjach przeciążają chłopców greczyzną i łaciną, z czego żadnego nie ma pożytku! i żądają wykluczenia tych nauk. Nic słuszniejszego jak te żale — ale nic mniéj słusznego jak to żądanie. Winy systematu, nie należy przypisywać naukom. Systemat dzisiejszy (o ile który profesor sam złemu nie zaradzi) zasadza się na gramatycznem zacickaniu i stylistycznych łamigłówkach — po czém uczeń ukończywszy gimnazyum, w istocie o całości i wartości literatur klasycznych żadnego nie ma wyobrażenia. Należy więc zmienić sposób uczenia, a przywrócić pożytek tych nauk.

Otóż, pomijając pomniejszą, dla codziennego użycia przydatność tych nauk — chciałem też, żeby wykład niniejszy mógł być w swój sposób przyczynkiem dla objaśnienia, że owe nauki klasyczne nie jest to tak jałowa i bezpłodna ziemia, jakby się może zdawało, że niegdyś nazywano je humanitarnemi, ludzkiemi! oznaczając przez to, że są one właściwe i zdolne dla wychowywania ludzi, obywateli. — Idzie tylko o sposób i miarę.

KOMETA.

(Tekst do pierwszego obrazu z „Wojny“ A. Grottgera).

Urocza cisza panuje w około,
Cisza letniego, jasnego wieczoru,
Księżyc srebrzyste z za drzew wznosi czoło —
I blask na białe rzuca ściany dworu.

Najlżejszy wietrzyk liśćmi nie szeleści,
Natura cała spoczywać się zdaje,
Lecz choć spokojna — spokoju nie daje,
I złe przeczucia jakieś ludziom wieści.

Bo na tle nieba — ot tam od zachodu
Świeci kometa, jak łuna ognista,
Straszna zapowiedź wojny, albo głodu,
I klęski jakiéjś wróżba oczywista.

Więc choć spokojnie i cicho na świecie,
To jakoś ludzie cieszyć się nie mogą,
Jakieś przeczucie złowieszcze ich gniecie,
Krwawa kometa przejmuje ich trwogą.

Rodzina cała wyszła z dworku swego,
By się orzeźwić lekkim chłodem nocy,
Ale ją trwoży ten niemy znak złego.
Co tam na niebie ogniście migoce.

Stara matrona oczy weń wlepiła,
Modląc się w duchu do Matki dziewicy,
By złe od Polski odwrócić raczyła;
A przerażenie widne w jéj źrenicy.

Pacierze nawet ukoić nie mogą
Wielkiéj bojaźni, co jéj serce ściska
A załamane ręce, proszę z trwogą
O zachowanie rodziny ogniska.

Dzieci rzuciły wesołą zabawę,
Do kolan babki tulą się ze drżeniem,
Jakby i one czuły tę obawę,
Która na wszystkich cięży dziś kamieniem.

A w progu chatki, niby w progu życia,
Stoi dziewica wsparta o młodziana,
I ich serc także przyspieszone bicia,
I jakaś trwoga dręczy ich nieznana.

A choć szczęśliwi, bo razem przy sobie —
To jakieś tęskne przeczucie gra w łonie,
Każde się pyta, czy w jutrzejszéj dobie
Będą jak dzisiaj stali dłonie w dłonie?

Czy też to światło ciężarne klęskami,
Im nie zasępi jasnéj ich przyszłości,
Co im dziś świeci zasiana gwiazdami
Cichego szczęścia, serdecznéj miłości?

I tak to światło złowróżbne na niebie
Jakiś niepokój duszny budzi wszędzie,
I każdy z trwogą pogląda przed siebie
I z drżeniem pyta: „Boże co to będzie?“

Alma K....

KARYKATURY.

(Wyjątek z teki podróżnéj.)

W Galicyi, w téj Galicyi, która, (gdyby nie trzydzieści kilka przeszkód) mogłaby nieledwie nazwać się Atenami polskiemi, w któréj utwory literackie czytane

bywają przez wszystkich niemal — literatów, a prawie w każdym dziesiątym dworze napotkasz jakie pismo, jakąś broszurkę a przynajmniéj jakiś kalendarz — otóż w téj Galicyi — czy uwierzycie państwo? jest miasteczko chorujące na księgowstręt. Przechowało się tam wprawdzie po szafach i półkach kilka starych książek, których mieszkańcy do snu i poobiedniéj drzémki używają, jest nawet kilka tłomaczonych romansów, na których panny dorastające uczą się języka miłości, pisania nieortograficznych listów i uczuć poetycznych; ale co z nowożytnych (sic) książek i pism, nic jeszcze nie wdarło się do téj ustroni niewiadomości. Utrzymują wprawdzie starsze panny, że przed laty prenumerowano tutaj dwa pisma, których jednak tytułów nie pamiętają — jedno z figurami (było to zapewne jakieś pismo ilustrowane), które dzieci p. burmistrza wystrzygały na parawan, i drugie jakieś arcymądre i arcynudne, piszące o życiu jakichś ludzi, których tu nikt nie znał — o jakimś Krasińskim czy Krasickim czy Kraszewskim i Bóg wie jakie banialuki. Pisma te oba jednak nie długo się tu utrzymały, a to głównie z tych powodów, że najprzód były za drogie, całoroczne bowiem zaprenumerowanie ich kosztowało prawie tyle, co para bucików; powtóre, że między paniami składającemi się na prenumeratę, powstawały częste swary, która z nich ma zatrzymać u siebie przeczytane papiery dla użytku domowego; po trzecie, że jedno z tych pism ośmieliło się szydzić z jakiejś niemłodnéj, mocno dekoltowanéj damy, a ponieważ pani aptekarzowa właśnie ulegała w wysokim stopniu téj słabości i pozwalała sobie téj niewinnéj przyjemności, przeto mieszkańcy miasta uważając ten dotyczek jako wprost wystósowany do pani aptekarzowéj, osoby skądinąd powszechnie szanowanéj dla swéj skromności, uczuli się tém dotknięci, pisma tego więcéj w mury swego miasta nie wpuścili, uczuli pogardę dla całéj literatury i odtąd żadna z mieszczanek miasta Pipidówki żadnego pisma perjodycznego na *żadne* oczy widzieć nie chciała. Bo i po co? Czyż pismo przyczynia się choć w części do urzeczywistnienia tego, co nazywamy przeznaczeniem człowieka, tj. do skojarzenia małżeństwa? A jeżeli nie, to pytam się, czyż nie lepiéj zamiast się rujnować na literaturę, za te pieniądze ozdobić córkę ładnym trzewiczkiem i nadsztukować ją wysokim korkiem? czerwone i muszkularne ręce spiąć jasną rękawiczką, a kupionemi kokami upiększać głowę zewnętrznie? Są to bez zaprzeczenia niezawodniejsze środki zapewnienia dziecku szczęścia, czyli (mówiąc bez ozdób poetycznych) pozbycia się go z domu. To też panny po ukończeniu niezbędnych studjów czytania, kaligrafii, rozmówek francuskich i mitologii — coprędzéj rzucały w kąt książki, kajeta, pióra i inne przybory Minerwy i skwapliwie poczynały na cześć Wenery i Hymenu przywdziewać wycięte suknie, bielić się, czernić, różować, sznurować, tańczyć i t. d. Słowem w Pipidówce powtórzyły się szczęśliwe chwile Arkadyi do tego stopnia, ze nawet doktora tam nie znano i niepotrzebowano; bóle zębów, głowy leczyli wszyscy środkami wypróbowanemi przez stryjeczne siostry babki rodzonéj ciotki, a do leczenia twardszych chorób był miejscowy weterynarz, który wystarczał równie bydłu jak ludziom; mózgowych chorób Pipidówka nie znała. A przepraszam! mówiąc o dziennikach, zapomniałem powiedzieć, że jeden „Czas“ krakowski miał to szczęście być czytanym przez mieszkańców Pipidówki. Była to słabość, nałóg, szczególniéj dla tego, że jedynie z tego pisma mogli się dowiedzieć o kierunku polityki w Chili, Paragwaj, wyspy Otahajti, które to kraje były szczególniejszym przedmiotem rozmów polityków schodzących się w handelku pod Złotym lisem. „Tam—mówili oni—leży rdzeń zawikłań europejskich i „Czas“ nie bez przyczyny śledzi ich czynności. Ztamtąd nam wielkich rzeczy oczekiwać trzeba“. — W oczekiwaniu na te wypadki politycy sławnego miasta Pipidówki spędzali bezsenne noce w handelku przewracając trony, zmieniając granicę państw lub dla rozerwania się grając w domino i preferansa — a odchodząc późno do domu, każdy brał z kroniki „Czasu“ jaką ciekawą wiadomość o otruciu, pożarze lub kradzieży dla ugłaskania tém złego humoru niecierpliwych połowic swoich.

Te i inne ciekawe szczegóły posłyszane mimochodem, skłoniły mnie, żem postanowił kilka dni zatrzymać się w tém mieście, czego nie żałuję wcale, zbogaciłem bowiem moją tekę kilkoma szkicami, któremi z czytelnikami podzielić się muszę. Miały to być portrety, nie moja wina, że wypadły tylko karykatury.

I.

Teatr amatorski.

Właścicielka oberży, w któréj stanąłem, weszła pierwsza do mojéj teki. Zacząłem ją szkicować od języka; była to bowiem jéj specyjalność, najgłówniejszy rys jéj charakteru; wszystko inne, jak: trójkątne piwne oczy, kapturkowaty nosek wiszący wysoko nad szeroką buzią jak gniazdko jakie, brodawka z kępką włosów — były to tylko akcessoryja nie wiele znaczące wobec téj niezmordowanéj machiny językowéj, drukującéj na pospiesznéj prasie wszystkie plotki i skandaliki miasta, osobiste, prywatne i publiczne sprawy, słowem: język pani Trakotrekowiczowéj był wszystkiém: był mieczem, drzewem wiadomości dobrego i złego afiszem, gazetą, młynkiem i Bóg wie czém. Przy takich zdolnościach i takiém usposobieniu pokój, kuchnia były za szczupłém miejscem popisu, to też właścicielka owego języka zwyczajem starożytnych ludów większą częśc dnia przepędzała na miejscach publicznych tj. przed domem, a wrazie niepogody na kurytarzu, nieprzepuszczając żadnego z przechodzących, komuby się

nie wyspowiadała z tego, co ciążyło na jéj języku. Czasami język na chwilę brał urlop, a wtedy oczy i uszy pracowały jak pszczoły nad zebraniem nowych wiadomości, boć i Salomon z próżnego nie naleje — i widywano wtedy panią Trakotrekowiczową skradającą się pod drzwi, okna na najwygodniejsze punkta obserwacyjne. Każda dziurka, każda szparka były dla niej wygodną lornetką i trąbką akustyczną — a przysłowie: nie kładź nosa między drzwi — nie było wcale żadnym hamulcem dla jéj ciekawości. Utrzymują znający ją dawniéj, że druga część tego przysłowia sprawdziła się raz rzeczywiście i z kształtnego, dorodnego nosa taka tylko odrobinka została, że ledwie na niéj okulary zaczepić było można, co było dla niéj nie małą przeszkodą do pozbycia się wdowieńskiego stanu, który od dwódziestu lat praktykowała z niemałą przykrością dla siebie, a stratą dla społeczeństwa. Była bowiem bezdzietną, a jedynym jak na teraz sukcesorem był jéj synowiec Atanazy Wszędobylski, pierwszy tancerz, pierwszy elegant, duma pani Trakotrekowiczowéj. Nie wyglądał on wcale na Apollina, ale miał więcéj od niego szyku, uprzejmości i usłużności. Posiadał w wysokim stopniu talent zjawiania się na każdém miejscu, gdzie szło o jaką usługę. Niech kilka kropel deszczu upadnie, już pan Atanazy zjawiał się z parasolami dla pań, gdzie szło o przeprowadzenie przez kładkę, płotek — tam jak z pod ziemi wyrastał z wyciągniętą uprzejmie ręką — każda solenizantka była pewną bukietu, słodkiego wiersza i uprzejmie uśmiechniętéj twarzy pana Atanazego. On podrastające panny wprowadzał na bal, on prowadził za trumną zapłakane wdowy, on w bławatnych sklepach dodawał paniom gustu, dzieciom nosił cukierki, starym anegdotki; do tego miał 500 fl. pensyi i sperandę sukcesyi po najdłuższém życiu cioci dobrodziejki — i czyż to mało powodów, aby został ulubieńcem całego miasta? Toteż wszyscy rozrywali go sobie — pan Atanazy był w modzie, a cylinder jego i kamaszki nosiły widoczne ślady usług publicznych.

Pragnąłem poznać to bożyszcze. Nie długo czekałem na to. Jakoś w pare dni po moim przyjeździe do Pipidówki ktoś z rana zapukał do drzwi — równocześnie wsunęła się do pokoju figurka, coś z rodzaju koników polnych, skoczna, posuwista, uśmiechnięta.

— Jestem Atanazy....

— Wszędobylski — dokończyłem.

— Jakto? Panu dobrodziejowi wiadome?...

— Proszę siadać.

— Dziękuję ślicznie — całą noc siedziałem.

— Chciałeś pan powiedzieć: leżałem.

— O nie panie, mówię bez przenośni. Miałem tyle zajęcia.... Czy uwierzysz pan, że udało mi się téj nocy wynaleść nową figurę w siedm par — w siedm par — czy pan uwierzysz? — Ale może pan nie tańczący?

— Nie.

— W takim razie trudno panu będzie wytłómaczyć, co to znaczy wynaleść figurę na siedm par. To panie mniéjwięcéj tak jak... jak... jakże tu panu powiedzieć? Słowem, rzecz niezwyczajna. Sam sobie się dziwię, zkąd ja przyszedłem do tego. Ale téż zabrało mi to nie mało czasu. Do tego panny Warwarkowskie dały mi dwa rebusy do rozwiązania, które dostały od swych przyjaciołek z Warszawy — i noc przeszła jak z bicza strzelił. — I tak panie ciągłe zajęcia. — Ale nie o tém chciałem mówić.

Tu przysunął się bliżéj ze stołkiem.

— Pan podobno z przeproszeniem literat?

— Do usług.

— A więc dobrze przeczytałem w meldunkowéj książce. Bo widzisz pan, ja się znam trochę na tém, bo i ja mam przyjaciela, którego brat jest literatem w wielkiem mieście i to panie wielkim literatem, bo kiedy cała Europa powiedziała o jednym malarzu, że jest wielkim, on powiedział *„nie“* i basta. I dotąd nie zmieni swego zdania, dopóki nie dostanie na przeproszenie jakiego obrazka lub coś podobnego. — Pan go pewnie musisz znać?

— Nie.

— A to dziwna. Ale nie o tém chciałem mówić.

Tu znowu bliżéj się przysunął.

— Wiem także, że pan piszesz.

Ukłoniłem się grzecznie za tę domyślność.

— Widziałem bowiem, jak pan papier i pióra kupowałeś wczoraj w sklepie. O, ja się znam na tém. — Otóż powiem panu w sekrecie....

— Zdaje mi się, że ktoś idzie — rzekłem usłyszawszy szmer za drzwiami. — Proszę wejść.

A widząc, że nikt nie wchodzi, poszedłem ku drzwiom i uchyliłem je. W téj chwili pani Trakotrekowiczowa jak piłka odskoczyła na drugi koniec korytarza i zdawała się być tak pilnie zajętą zeskrobywaniem wapna na ścianie, że mnie nawet uważać nie miała czasu.

Zamknąłem więc drzwi i wróciłem do kuzynka układającego sobie z wielką pracą dalszy ciąg sekretu.

— Otóż powiem panu w sekrecie, że u nas układa się teatr amatorski. Cóż pan na to?

— To bardzo śliczna rzecz.

— Śliczna? prawda? Widzi pan, i to także ja wymyśliłem. Jedyna trudność w tém, że nie mamy sztuki.

— To bagatela.

— Bagatela? pan powiada? I mnie się tak zdaje; ale koniec końców trzebaby koniecznie jakiéj sztuki. pisałem do owego brata mego przyjaciela, ale...

— Nazio! — odezwała się ciocia uchylając drzwi.

— A co tam?

— Mam z tobą do pomówienia.

— Zaraz służę cioci.

— A może pani dobrodziejka pozwoli do pokoju — odezwałem się z grzeczności.

— O! dziękuję. Panowie może macie jakie sekreta, a ja nie lubię być ciekawą. Więc przyjdziesz Naziu?

— Za chwilę.

— Otóż pisałem do niego — ciągnął Nazio po zamknięciu drzwi — ale mi odpisał, że on teraz sztuk nie pisuje, a to co inni piszą, to djabła warte.

— A, to możeby zaczekać.

— To nie podobna. Bo widzisz pan, uradziliśmy z hrabiną Ślepowrońską, żeby to było koniecznie na cel dobroczynny — na wystawienie figury ś. Urszuli.

— Ś. Cecylii serdeńko — odezwał się głos z poza drzwi.

— Jak pani dobrodziejka utrzymuje? — spytałem otwierając drzwi.

Złapana w ten sposób na gorącym uczynku ciocia, nie straciła jednak przytomności i udając jakby mijała drzwi moje nie widząc mnie, powtarzała głośno: Śta Agato, módl się za nami! ś. Beato z towarzyszkami i t. d.

Niechcąc przerywać modłów pobożnéj matrony miasta Pipidówki, zamknąłem znowu drzwi. Nazio tak daléj mówił:

— Czas nagli — ś. Cecylija za pasem — teatr bez sztuki zdaje mi się być nie może — prawda panie? Otóż ja udałem się do pana, czybyś pan nie był łaskaw wymyślić jakie głupstwo, byle coś było.

— A mądrego nic być nie może? — spytałem z uśmiechem.

— A, owszem, tylko, żeby było moralne. — Bo widzisz pan, hrabina jest wzorem moralności, ponieważ...

— Ponieważ niemoralną już być nie może. Ale mniejsza o to. Dam panu taką sztukę. Na jutro ją napiszę.

— Jakto, pan sam — tak z głowy?

— Trudno z czego innego. — Pańską rzeczą będzie postarać się o amatorów; potrzeba będzie czterech mężczyzn i trzech panien.

— Lecę, spieszę — zawołał ucieszony pan Atanazy i wybiegł z pokoju nie zamykając nawet drzwi za sobą. Na korytarzu posłyszałem następujący urywek rozmowy:

— Naziu! o czém wy mówili?

— To sekret.

— Przecież przed rodzoną ciotką twoją, która cię tak kocha, nie będziesz miał sekretów.

— Późniéj się ciocia dowie o wszystkiém.

— Naziu! na rany Ukrzyżowanego Zbawiciela zakli....

Naziu niesłyszał już zaklęcia, wyrwawszy się z rąk cioci, zbiegł pospiesznie po schodach i wyleciał na miasto.

Trawiona ciekawością ciocia zwróciła się do mnie.

— Czy można wejść? spytała.

— Przepraszam panią, ale właśnie chcę zmienić toaletę.

— Na słówko, na słóweczko tylko.

— Nie jestem w kompletném ubraniu — odrzekłem przymykając drzwi.

— Nic nie szkodzi, — mówiła zrozpaczona z ciekawości wtłaczając się do mego pokoju — nie będę patrzeć na pana.

Nie mogłem powstrzymać kobiecego szturmu, bez uchybienia grzeczności winnéj płci pięknéj — ustąpiłem. Baba korzystając z pozycyi poczęła atak.

— Proszę pana, o czém wy tu mówili. Nie jestem ciekawą, uchowaj mnie Boże, ale idzie tu o szczęście mego synowca, dla tego mnie to obchodzi. Słyszałam, żeście mówili o jakiejś Urszuli.

— Odmawialiśmy litanią.

— O! nie panie, ja mam ucho dobre? Nic podsłuchiwałam, broń Boże, brzydzę się czémś podobném u mnie każdy lokator może robić co mu się podoba, ja w to nie wchodzę, a co mnie do tego? Ale przechodząc usłyszałam imię Urszula, potem nazwisko hrabiny Ślepowrońskiéj — mój siostrzeniec myśli oświadczyć się o jéj córkę — prawda? On to mówił panu?

— Ależ myli się pani.

— O nie; ja to już dawno uważałam, że one polują na niego. Nie dziwię się temu, chłopak ma ułożenie, urodę. Już to wszyscy z naszego rodu odznaczali się urodą. Ma więc prawo dobijać się nie tylko o hrabiny, ale o księżniczki, bo i nasz ród, jakkolwiek przez nieszczęścia podupadł, liczył kiedyś senatorów, kasztelanów; pan musiałeś o nich słyszeć, czytać?

— Nie przypominam sobie.

— Ale jak Boga kocham tak prawda; mnie pan wierzyć możesz. Otóż nic dla Nazia dziwnego hrabianka. Ale panna Urszula taka hrabianka z przeproszeniem pana, jak ja hrabina.

— I również tyle liczy w rodzie senatorów?

— Ależ uchowaj Boże! W tém wszystkiém cygaństwo; ja znam tę całą familiją. Jakem była za kucharkę— chciałam powiedzieć, jak byłam, to jest właściwie, ja miałam jednę kucharkę, która służyła po wielkich dworach, to wiem wszystko. Męża hrabiny nikt nigdy na oczy nie widział, była poprostu, jak tu panu powiedzieć....

— Nie hrabiną — podpowiedziałem pomagając zmordowanemu językowi cioci.

— Gorzej jeszcze. I potem ni ztąd, ni zowąd zjawiła się u nas z córką i z tytułem hrabiny. Mniejsza by tam jeszcze było o tytuł, bo dzisiaj o tytuły nikt nie dba — prawda panie? Dziś tylko nauka, talent znaczy — prawda panie? Ale hrabina goła nieobmawiając, bieda panie z każdego strzępa patrzy — a dmie nieprzymierzając jak miech kowalski i zadziera nosa. O! nie doczekanie jéj, żeby Nazia dostała za zięcia;

a jeżeli Nazio będzie się opierał — to wydziedziczę, jak Boga ukrzyżowanego kocham — wydziedziczę.

— Ależ tu wcale o tém mowy nie było.

— A o czémże?

— No, kiedy pani koniecznie chcesz wiedzieć to powiem, że o przedstawieniu amatorskiém.

— Matorskiém? powtórzyła jak echo pani Trakotrekowiczowa robiąc duże oczy — cóż to panie jest?

— To jest, jakby to pani powiedzieć....

— Może to coś nieprzyzwoitego? Wy panowie kawalerowie lubicie takie rozmowy; ale mnie uczciwéj kobiecie, która 20 lat przeżyłam jak Bóg przykazał w stanie wdowieńskim pomimo licznych pokus....

— W takim razie nie chcę pani wodzić na pokuszenie — odrzekłem kryjąc uśmiech pod wąsem.

— Więc to rzeczywiście coś nieprzyzwoitego?

— I bardzo.

— To nic nie szkodzi — mów pan — ja stara, to mi ujdzie.

Widząc, że baby w ten sposób nie prędko się pozbędę, użyłem fortelu z komedyi. Zbliżyłem się do okna i udając mocne zajęcie, mówiłem jakby do siebie:

— A to co? cóż się stało?

— Gdzie? co? jak? mów pan! — zawołała baba dygocąc z niecierpliwości.

— Eh, nic, tam — na rogu ulicy.

— Co na rogu ulicy — na miłość Boską, mówże pan — pali się?

— Nie, jakieś zbiegowisko ludzi.

— Zbiegowisko? pan mówisz. Może aptekarz bije się ze żoną — a może sędzia zastał aplikanta u.... dowiem się zaraz.

To powiedziawszy, wybiegła jak z procy, a ja korzystając z chwilowego odwrotu nieprzyjaciela, coprędzéj zamknąłem drzwi na klucz.

Tymczasem pan Atanazy na skrzydłach wiatru przeleciał miasto, wszędzie był, wszystkie panny zaalarmował wieścią o teatrze, wszystkim pod największym sekretem powiedział, że sztukę pisze umyślnie z głowy jeden przejeżdżający literata, co znowu daléj panie pod największym sekretem sobie udzielały zmieniając, dodając w nazwie i rzeczy tak, że zanim ta rzecz dostała się na koniec miasta do państwa Giętkogipskich — ostatnie jéj wydanie brzmiało: że przyjechał jakiś człowiek, któremu z głowy wychodzą litery jakie kto zażąda, że będzie dawał ciekawe przedstawienie z armatą i t. d.

Dzięki téj przekręconéj ploteczce sekret jako tako się utrzymał i tylko kilka panien, w których domyślano się talentu melpomeńskiego zostało zaproszonych wraz z mamami i ciotkami i siostrami i t. d. na dzień następny na czytanie komedyi do mieszkania p. burmistrza. — Jedna tylko pani Pstrzyk nie przyjęła zaprosin, dając za powód, że wie z doświadczenia, że takie teatra amatorskie są do niczego, że nie warto, aby panny robiły z siebie podobne poświęcenie, kiedy panowie potem nic a nic na grzeczności się nie znają, gdyż córki jéj trzynaście lat temu także występowały, a jednak dotąd żadna za mąż nie poszła.

— Bo koczkodany — rzekła konsyliarzowa w myśli do siebie, gdy jéj pani Pstrzyk mizantropijne argumenta swoje przedkładała — inna rzecz jéj córki, a inna rzecz moje. Jak do córek.

A miała córki — Boże zmiłuj się. Ale nie chcę obmawiać.

Na drugi dzień z manuskryptem w kieszeni, w pogniecionym fraku wyciągniętym z tłomoczka i w obszernych białych rękawiczkach szedłem z panem Atanazym na umówione miejsce. Z okien przez geranijki i mirty kukały ciekawe mieszkanki miasta Pipidówki, robiąc najrozmaitsze przypuszczenia o owym wyfraczonym jegomościu, tj. niechwalący się — o mnie. Jedne brały mnie za nowoprzybyłego urzędnika, inne za konkurenta do panien burmistrzanek, inne za nauczyciela muzyki — słowem, szedłem przez języki jak przez rózgi, aż się dostałem do kancelaryi p. burmistrza.

Pan burmistrz tak był mocno zajęty czytaniem, że nie uważał, nie słyszał, jak weszliśmy, choć moje skrzypiące buciki dość głośno nas anonsowały. Późniéj dowiedziałem się, że to było słabością pana burmistrza pokazywać się przed ludźmi mocno zajętym, że zwykle drzemka i fajka były jego najważniejszém zajęciem, ale skoro tylko usłyszał kroki w przedpokoju, wnet zrywał się do biurka, rozkładał księgi i papiery i tak tonął w pracy, że armatnich strzałów zdawał się nie słyszeć. Drugą słabością p. burmistrza był Getyzm. Któryś z przejeżdżających turystów zażartował sobie, że burmistrz z zaokrąglonego brzucha przypomina Getego, dodał zarazem, że Gete był wielkim człowiekiem. Odtąd pan burmistrz zachorował na wielkiego Getego; skupował jego portrety, płaskorzeźby, biuściki, i obstawiał i zawieszał niemi swoją kancelaryją, szczególniéj w wielkiém poszanowaniu miał duży sztych przedstawiający Getego jako ministra Wajmarskiego dobréj tuszy i w obszernym surducie. Ten sztych powiesił nad łóżkiem pozwalając gościom wątpić, czy to portret Getego, czy samego pana burmistrza: odtąd starannie począł pielęgnować tę część ciała, która go tak złudnie robiła podobym do wielkiego człowieka. Miał nawet zamiar kupienia dzieł Getego, dla dowiedzenia się, przez co ten człowiek stał się tak wielkim i tyle zdołał sobie porobić znajomości, że wszędzie jest znanym; ale jakoś do tego nie przyszło.

Były to jednak niewinne słabostki, które wcale panu burmistrzowi nie przeszkadzały być wielce poważną i zasłużoną w mieście figurą. Robił wprawdzie mało, ale zato mówil wiele — za co miasto postanowiło postawić mu pomnik. P. burmistrz nie miał nic przeciwko temu, ale jako człowiek skromny i z taktem, zrzekł się pierwszeństwa na rzecz Śtéj Cecylii.

— Niech tylko ona ma pierwéj — ja - zaczekam. (C. d. n.)

Jagiellonki polskie w 16 w.

(TOM III.)

przez Aleks. Przezdzieckiego

(Ciąg dalszy.)

Eryk umyślił stracić nareszcie brata — a Katarzynę carowi odesłać. Jedynie słabość jéj odwlokła jeszcze sprawę, a i Rady Królewskie sprzeciwiali się temu. Eryk rzucał się jak dziki zwierz, własnoręcznie trzech senatorów zabił, trwając w swojéj zawziętości. Kronikarz opisuje te sceny z całém oburzeniem i mówi daléj:

„Po onéj szkaradnéj robocie okrutnéj zdało mu się rano widzenie, już na dniu jako światło, że do niego człowiek w białém odzieniu przyszedł, mówiąc mu: „Tyranie! umyśliłeś brata zabić, żonę jego Moskiew- „skiemu posłać; kazał ci Bóg przez mię powiedzieć, „żebyś tego nie czynił: jużeś Boga rozgniewał, żeś lu- „dzie niewinne, pany swe, pomordował. Jeśli brata nie „wypuścisz i z żoną jego do Księztwa jego, a tego „okrucieństwa nie przestaniesz: tedyć Pan Bóg rozum „odejmie, że i Królestwo stracisz i po skałach i lesiech „biegać będziesz; trawę będziesz żarł jako wół, i be- „styą cię uczyni, i wszystko odzienie na sobie podra- „piesz, że i ciała swego okryć czém nie będziesz miał: „a że cię Pan Bóg da w wieczną niewolą nieprzyja- „cielowi twemu: bo już Bóg wysłuchał płaczliwych „próśb brata twego i małżonki jego, i już go weźmie „na opiekę swoją, a ciebie wiecznie potłumi“. Gdy ono widzenie zniknęło, porwał się, jął pytać łożniczych: Był tu kto? Powiedzieli, że tu żaden nie był, bo i drzwi zamknione i zamek zamkniony; tedy sam im to widzenie powiedał“....

„Wtém Król Duński wtargnął mu w ziemię, on się ruszył przeciw niemu. Moskiewscy posłowie, na które wielki sumpt czynić musiał, przyszli prosząc aby ich już odprawił: „Bo gdy tam daleko na granice zajedziesz, tedy się rychło wrócić nie możesz, a my tu omieszkawając Panu swemu nic nie posłużymy. Albo nas odpraw, a już pewny nieprzyjaźni od Pana naszego czekaj; albo to ziść w czémeś naszego Pana upewnił, a jemu na to przyrzekł“. On potém radził się Jurgiepierza i biskupa kalmarskiego, którzy mu radzili, że lepiéj jest, abyś pierwéj brata zabił i dziecię: bo jako go do Polski zadadzą, tedy to bez trudności nie będzie; a lepiéj jest że jeden zginie albo dwa, niż wszystka ziemia ma zginąć. Tak że się naradzili, że tam Jurgiepierz do Gripsolmu był posłan z drabanty i z proporcem knechtów, Książę i z synem zabić, książęcą głowę przynieść, dziecię na pal wbić. Polaki wszystkie pozabijać i panny, co były, przy Królewnie, żadnéj nie żywić, a Królewnę przywieść i zaraz Moskwie oddać. (A ten Jurgiepierz był mało przedtem o niełaskę królewską przyszedł i wsadzon, potém że miał matkę wierutną czarownicę, która oczarowała króla, że go kazał puścić i mienie mu wielkie darował, i kazał heroldowi obwołać, iż nalazł go Król niewinnym tego więzienia, a czyni go równym każdemu najzacniejszemu w ziemi swojéj i k'temu cokolwiek on rozkaże, aby go tak słuchano jako samego Króla.) Wyciągnął tedy Jurgiepierz z onym ludem ku Gripsolmu podjąwszy się owéj cnotliwéj robotki; a wyszło królewskie rozkazanie do onego pocztu ludzi, aby cokolwiek im Jurgiepierz rozkaże, to wszystko czynili. Oni ludzie już będąc na drugim noclegu, że już jedno mil dwie byli od Gripsolmu, chcieli wiedzieć, dokąd a po co byli wiedzeni; a zwłaszcza, iż ich nad obyczaj hojniéj chował, wina im kazał dostatek dawać. On acz się zdzierżał długo im powiedzieć, po tém ciągnieniu koło uczyniwszy, zastanowili go i pytali, dokąd a na co je wiedzie? Powiedział: „że to „jest wola królewska, abyście tego nieprzyjaciela kró- „lewskiego, Książę Finlandzkie o gardło przyprawili, „i wszystkie Polaki i panny posiekli, i dziecię jego na „pal wbili, a Królewnę do Króla przyprowadzili; a kto „z was głowę tego Książęcia przyniesie, będzie poczci- „wie a znacznie od Króla darowan“. Oni jako ludzie „rycerscy powiedzieli: „iżeśmy tego od Króla niesłyszeli, „ciebie w tém słuchać nie jesteśmy powinni....“

„Królewna Jéj Mość, gdy o tém usłyszała, i Książe o zabiciu swém od onych panów, którzy się byli zwykli za niemi przyczyniać, już inszéj nadziei nie było, jedno do Pana Boga wołać o wspomożenie. Owo przyjaciele przecię ostrzegli Książę, który mając około siebie kilkanaście osób Polaków, gdy mu tam w beczkach ruśnic, alabartów i mieczów nieco dodano, myślił się bronić, przysiągłszy sobie statecznie, tak mężczyzny jako panny, każdy do gardła swego dać się pierwéj pozabijać, niżby do tego przyszło, aby miano Książę i dziecię zamordować i Królowę w tę niewolę podać“....

Tymczasem Eryk rozjuszony zabijał, kto mu tylko z odradzaniem wszedł w drogę. „Była rzecz ona wszem ludziom nieznośnie żałościwa i płaczliwa; i widali ludzie jawnie za nim czarnego chłopa co mu w uszy szeptał, nad inszy ludzie szkaradniejszego, o którym powiadają, żeby czart miał być; czasem i srogiego czarnego psa, o którym i sam wyznawał, że go ten na

to poduszczał, aby wszystkie pany swe wybił.... Eryk widząc taką żałość w ludziach, wnet rzucił pacholę za onemi ludźmi: jeźli Książe nie jest zabit, aby go tak zaniechali w pokoju: dawszy mu na znak sygnet swój z palca. Potem wyszedł z pokoju w kolecie ze szpadą i z puginałem. Wejrzawszy na tak smętne a żałośne ludzie, którzy prawie opłakiwali onego starca, jął pytać: „Kto tu dziś Królem?“ Oni powiedzieli, że o inszym nie wiemy, jedno o W. K. M. Panu naszym. Ja — powiada — „nie jestem Królem,“ a zdjąwszy bieret z siebie, zarzucił precz mówiąc: „Już ja wam zdawam Królestwo, a wy sobie patrzcie inszego Króla, bom ja jest tyran; nigdy Korona Szwedzka takiego nie miała tyrana jakom ja jest“. Tak że w owym kolecie wyrwawszy się z pokoju, bieżąc ze wschodów wyrwał alabart u drabanta swego, a potkawszy zacnego pana swego Her Iwer Iwerson, acz mu się bronić począł, zabił go zaraz; potem podrapał ubiory na sobie i bieżał w las: tak że tam trzy dni i trzy noce po lesiech, po skałach się tułał. Aż potém zbito kilkanaście set ludzi, którzy go z pracą znaleźli, zgłodzonego i tak szalonego nalazłszy, Szwartczycy doprowadzili, dwie mile od Sztokolmu. A w tém, gdy on szalał, panowie i szlachta obrali trzech gubernatorów, którzyby rządzili wszystką rzecz pospolitą.... Ciż gdy się nagodził, dali go tam do tego mieszkania; tamże dwie niedziele mieszkając pod strażą, jako ten co był od rozumu odstąpił, posłali muzyki, piszczki, trębacze, skrzypice francuzkie,... aż się był obaczył i przyszedł ku rozumu. Posłał potém po one pany gubernatory, pytał ich: „Przeco bym był wsadzon?“ Powiedzieli mu: że przeto, żeś odstąpił był od rozumu, pany niewinne pozabijał, preceptoraś swego, ochmistrza, starego człowieka, Radę swą wierną zabił, brataś swego chciał zabić, dziecię, a żonę jego posłać do Moskwy, sługi jego i panny pomordować; sam ci po lesiech biegał kilka dni, małoś nie zginął. Obaczywszy się, jął tego płaczliwie żałować, i jął im opowiedać ono widzenie, z jakiém poselstwem do niego on mąż w białém odzieniu był przyszedł. Prosił ich dla Boga, aby o nim radzili, jakoby i brata wypuścił, przeprosił i to mu nagrodził, znając to już do siebie, że go Pan Bóg za grzechy na rozumie skarał, a na brata jego okiem Bóstwa swego wejrzał. A tak, aby dalej wszystkiéj ziemi dla niego Pan Bóg nie karał, że mu dobrowolnie rad Królestwo spuści, ażeby on już Królestwo objął; jedno, aby to tak warowali, jakoby on miał swe słuszne opatrzenie i wychowanie.... I sprawił sam artykuły z nimi pospołu i kondycye, z któremi posłali po Książę Finlandzkie, posławszy mu zaraz przytém szaty, klejnoty jego, i pannom polskim wszystkie ich ubiory, aby z Gripsolmu do Wentsalmu przyjechał, a z tamtąd na obiad do Szwarcu trzeciego dnia do Króla przyjechał“.

Tak więc aż do r. 1567 przeszło cztery lata królewna nasza z mężem w ciężkiem więzieniu przesiedziała. Po uwolnieniu ich wraz z synem Zygmuntem, gdy Eryk znowu na ich życie nastawał, lubo X. Jan jako naczelnik wojska wielkie mu oddawał usługi, przyszło do wojny między braćmi. Obrócił się los — Jan objął królestwo z żoną, która właśnie córeczkę Annę powiła — a Eryk jako gwałciciel i szalony zamknięty został w warownem więzieniu, atoli z przyzwoitém opatrzeniem: ...„jadło mu bywa dosyć hojnie dawane, na obiad dwanaście potraw, na wieczerzę téż dwanaście na srebrze, piwa dostatek.... Tamże sobie pisze, czyta na księgach; a iż jest wielki matematyk, tedy dziwne sobie około astronomii zabawki czyni. A jest podziwnie misterny złotnik, tedy na miedzianéj tablicy becuje, jako bitwy wiódł z bratem, jako strzelba nań i od niego była puszczana“.... „Królowa téż Jéj M. téj to żonie (?) jego często swe półmiski poséła. —

Dziwném się to musi dzisiaj wydawać, żeby siostra jednego z najpotężniejszych królów mogła być w sąsiedniém państwie na takie srogości narażoną. Ale trzeba tu uważać na wielkie odległości z powodu braku prędkiéj kommunikacyi, potem, że Zygmunt August zostawał z Szwecją i Moskwą w otwartéj wojnie, a nareszcie, że w domu nowe zmartwienia nad głową jego zawisły. Własne jego sprawy zajmowały go zanadto, jakżeby mógł ochotnie i skutecznie czynić kroki o wyswobodzenie Katarzyny i wydanie za mąż Anny. Małżeństwo bowiem króla trzecie z kolei było wielce nieszczęśliwe. Już to w ogóle austryjaczki jakoś na polskie królowe się nie nadawały.

Już w r. 1563 osiadła Katarzyna w Radomiu osamotniona, bez nadziei przezwyciężenia kiedykolwiek wstrętu, jaki do niéj powziął Zygmunt August dla wielkiéj choroby, dziedzicznéj w domu austryjackim, i dla braku potomstwa z nią. Chciała ona wracać do Wiednia, ale król niedopuszczał sądząc, że łatwiéj w ten sposób rozwód uzyska, niż gdyby ją odesłał i zostawił jéj możność stawiania przeszkód. Królowa błagała z gorzkiemi łzami i łkaniem nuncyjusza, żeby w Rzymie sprawy jéj bronił i rozwodu nie dopuścił.

Na sejmie r. 1565 toczyły się rozprawy o przyszłém pożyciu Zyg. Augusta z żoną, lub o wprowadzenie sprawy rozwodowéj. Posłowie cesarscy, legat papiezki czynili zabiegi za królową, lecz sprawa jéj była już w sercu króla dawno przegraną — „Odpowiadał on legatowi, że odsłoni przed nim wszystkie tajemnice swojego serca, i wynurzy całe pasmo goryczy dręczących go od pierwszego małżeństwa, zawartego z uległości dla rodziców i na usilne ich żądanie, gdy mimowolnie poślubił arcyksiężniczkę Elżbietę, siostrę teraźniejszéj królowéj, nie mogąc i wówczas pokonać wstrętu

od związków z osobą, tak blizko z sobą spokrewnioną", (była mu siostrzenicą).

Zaledwo królowa Elżbieta stanęła w Koronie, wnet nieporozumienia i zawiści między nią a królową-matką wybuchły, i bez najmniejszéj przerwy trwały, aż dopóki śmierć synowéj końca im nie położyła. Późniéj, gdy był wdowcem, ci którzy tą drogą szukali znaczenia i przewagi, doradzili mu poślubić królową Barbarę, własną poddankę, stryjeczną siostrę wojewody wileńskiego; lecz i ta wkrótce umarła. Owoż ci sami naglili go do poślubienia siostry pierwszéj jego żony.... Wszakże księżna słysząc, że siostra jéj nie była w Polsce szczęśliwą, że miała ciągłe zgryzoty z powodu królowéj-matki Bony, niechętnie na to małżeństwo przyzwalała. Nieszczęście atoli chciało, że te trzecie śluby z teraźniejszą królową doszły do skutku. Od pierwszego wstępu do tego kraju, zraziła go swojém postępowaniem i układem; wnet przekonał się, że żaden pociąg krwi i przyrodzenia między niemi nie istnieje. Mimo to wszystko, chował ją w uczciwości, żył z nią nawet po małżeńsku; od dwóch lat dopiero zupełnie ją zaniechał, i z tego powodu opowiadał (nuncyuszowi) wiele szczegółów i zdarzeń zaszłych między niemi. Zwierzył się, iż często prosił Boga, aby go natchnął miłością ku małżonce: lecz nie mogąc otrzymać skutku swéj modlitwy od boskiego majestatu, uwierzył nie radząc się żadnéj teologii, że Bóg podobnych małżeństw zabrania, i że te nigdy nie są szczęśliwemi. Wiedząc przecież, że jest związany niecofnionym ślubem, nie myślał o rozwodzie, aż dopiero przed dwoma laty, ze zdarzenia, które serce jego przeraziło najżywszą boleścią. Cesarz w roku zeszłym poruczył posłom swoim wyprawionym do Warszawy zapytać króla, dla czego nie żyje z małżonką. Nie zdało mu się dać innéj im odprawy, prócz, że przez własnych posłów odpowie. Jakoż nie omieszkał tego uczynić wyprawiwszy do Wiednia kasztelana rawskiego i referendarza Karnkowskiego*). Co do rozkazów mających się udzielić temu poselstwu, król nie chciał nic stanowić sam przez siebie, lecz przełożył kilku znakomitszym senatorom zapytanie Cesarza; ci zaś ułożyli naukę dla rzeczonych, kasztelana i referendarza, w któréj wymienili wyraźnie główny powód tak głęboko zasmucający króla. Nie pędzi go do rozwodu namiętność jak Henryka VIII., owszem byleby się wyzwolił z kajdan małżeńskich, może postąpi wbrew przeciwnie czynionym domysłom, dając do zrozumienia, że już się nie ożeni...."

Senat starał się króla nakłonić, żeby zaniechał rozwodu, ale odpowiedział stanowczo: „prosząc, aby już więcéj z tém dali pokój, gdyż on z nią mieszkać nie może, by do tego przyjść miało (a na gardło wskazał)....

*) Może Czarnkowskiego?

Tak więc w ciągu kilkunastu lat dwa razy w sprawach małżeńskich spór się toczył — raz gdy senat żądał porzucenia Barbary, a obecnie zatrzymania Katarzyny — a zawsze wbrew sercu Zygmunta. Takie smutne koleje mogły zaprawdę króla zniechęcić, napełnić cierpkością i obojętnością, z jaką potem resztę życia swojego na miłostkach strawił.

Gdy uzyskanie rozwodu szło z trudnością, król zgodził się nareszcie, żeby żonę odesłać, byle się jéj pozbyć. Nastąpiło to w roku 1566. „Żaden z wielkich panów polskich niechciał towarzyszyć jéj za granicę". Na powitanie jéj w Wiedniu odbywały się festyny — panie polskie z orszaku jéj „w tém się najwięcéj cesarzowéj podobały, iż kiedy w taniec szły, iż się uścisnąć nie dały, ani całować; i niemcom się to podobało. Tak też powiadały, iżby niemce mieli mówić, iż to cnotliwa nacya polska, ale zaś snać niemkinie na nie się gniewały". Były tańce i przejażdżki — jednak mimo to przyjęcie było smutne i ciężkie, gdyż wyrzucał jéj cesarz, „iż co się dzieje, to wszystko z przyczyny jéj, tak że królowa żaliła się z płaczem: „ciężka jest rzecz komu mąż umrze, ale jeszcze cięższa, kto go ma, a nie mieszka z nim". — Potem wyznaczono jéj przyzwoite utrzymanie i osiadła w mieście Linz nad Dunajem, gdzie jeszcze 6 lat żyła. — Była to ostatnia żona Zyg. Augusta. (C. d. n.)

Za późno.

(Opowiadanie.)

I.

W jednéj wiosce dwoje młodych było:
Panicz ładny z panieneczką miłą.
On się kochał w panience szalenie,
I w kochaniu miał raj i cierpienie.
Ale panna robótką zajęta
Nie odgadła jego sentymenta,
Nie przeczuła jego boleść całą,
Bo serduszko w pannie jeszcze spało.

II.

Była wojna — a krwawa,
Powstał naród — Warszawa
Z białym orłem stanęła na przodzie;
Z grobu Polska wstawała,
I skrwawiona wołała:
„Ratuj! ratuj Twę matkę narodzie!"

A głos leciał po ziemi
Mogiłami staremi —
Głos rozpaczny jak jęki łabędzie;

Więc kto unieść broń zdołał
Leciał w ogień i wołał:
„Żyj nam Polsko! choć nas już nie będzie!“

Młodzian nie miał spokoju —
Ręka drżała do boju;
Lecz żal było porzucać kochanie,
I wyrzuty go bodły,
Mówił sobie, że podły;
Ale szabla wisiała na ścianie.

Stary sługa młodziana -
Wszedł do niego raz z rana
I powiedział: „siedzicie tu panie?
„Nie będziecież rąbali
„Starą szablą Moskali,
„Jako rąbał wasz ojciec mospanie?“

Spuścił oczy pan młody —
Wstyd mu oblał jagody,
I do okna milczący się zwrócił —
Wiarus spojrzał — i plunął,
Siadł na konia i sunął
Na wojenkę i pana porzucił.

Więc rzekł panicz: pojadę!
Zwołał chłopów gromadę
I każdemu broń dawał sam w rękę;
Wziął kord ojca ze ściany,
Szkaplerz matki kochanéj,
I pojechał pożegnać panienkę.

Burza była na dworze —
Wiatry wyły po borze —
Panna w oknie — jéj czółko deszcz rosił,
Po jéj twarzy, po białéj
Błyskawice latały —
A on u nóg jéj klęczał i prosił:

„Ja dziś dom wasz porzucę —
„Może zginę — niewrócę,
„A Helenka nie płacze — nie szlocha?
„Ty tak zimna Heleno?
„Powiedz! powiedz mi jeno,
Że mnie kochasz choć troszkę, choć trocha!“

Jedź pan z szczęściem w swą drogę —
Cóż ja więcéj dać mogę?
Rzekło dziewczę — zchmurzyło się gniewnie;
Bo serduszko jéj spało —
Burz namiętnych nieznało —
Czy się zbudzi? o! zbudzi się pewnie!

III.

Strasznie się syny za swą matkę biły;
Ale Judasze wmięszali swe dłonie,
Skrwawiony orzeł runął do mogiły,
I był jęk straszny w Litwie i Koronie.

We mglisty ranek przed biały dwór panny
Przyjechał panicz — smutny był i ranny —
I do jéj matki poszedł — łzami zrosił
Rękę staruchy i o córkę prosił:
„Uciekać muszę z kraju — idę w drogę;
„Ale bez córki twojéj iść nie mogę.

„Daj mi ją matko w pamiątkę z téj ziemi,
„W którą nie wrócę już!“ i znów rzewnemi
Łzami się zalał — a matka spytała:
Chcesz go Heleniu? Helencia milczała
Dumając długo — a potem oblekła
Rękami matki szyję i wyrzekła:

„Ja z nim nie pójdę — zostanę przy mamie!“
Tak powiedziała panna — ja nie kłamię
Niech pani wierzy — serduszko jéj spało;
Ale się zbudzi za chwilkę, za małą.

IV.

Panicz pojechał — kilka lat go nie ma —
Helenka nieraz z mokremi oczyma
Pod bzami siadać lubiła w zadumie;
Lecz sobie tego tłumaczyć nie umie:
Dla czego smutna? oparta na ręce
Siedziała nieraz, tęskniąc czegoś rzewnie.

Ja wiem dla czego i pani wiesz pewnie?
Bo się serduszko ocknęło w Helence!
Aż raz upadła do nóg swéj mateńce:
„Jedźmy do niego — prosiła wśród łkania —
„Ja będę jemu pociechą wygnania!“

I pojechały w obcy kraj kobiety
Szukać panicza — znalazły z mozołem —
Siedział na sofie i czytał gazety,
A obok niego siedziała za stołem
Żoneczka młoda z dziećmi przy herbacie —
Helcia zemdlała — ot i koniec macie.

M. Bałucki.

NIEWIDZIANA.

(SZKIC.)

napisał

Honorjusz Klet.

I.

Okno naprzeciwko było całe zasłonięte kwiatami.

W Warszawie okien podobnych jest tak mało, że pomimo najszczerszych chęci, aby nie zdradzać cudzéj tajemnicy, ani domu w którym mieściło się to okno, ani ulicy przy któréj prawie samotnie stał ów dom z oknem, wskazać wam nie mogę.

Zresztą, gdyby wam koniecznie szło o bliższe topograficzne wiadomości, zapytajcie o nie pana Jana.

Pan Jan bowiem od trzech tygodni nie spuszczał oka z zasłoniętego kwiatami okna.

Tu znowu nie wymagajcie odemnie matematycznéj ścisłości; jeśli mówię „od trzech tygodni", mógłem się nieco pomylić, bo pan Jan jak każdy inny śmiertelnik, przez te trzy tygodnie jadał, sypiał, czytał a nawet czasem i pisał.

Resztę więc tylko pozostałego czasu mógł poświęcać zasłoniętemu oknu.

A i ta reszta nie była zbyt małą, bo pan Jan nie mając żadnego stałego zatrudnienia, większą część dnia odsiadywał w domu.

Wpatrując się tak całemi godzinami w cudze okno, pan Jan dostrzegł w niém stopniowo:

najprzód: dwanaście doniczek różnéj wielkości, z kwiatami zdradzającemi oranżeryjne pochodzenie;

następnie: białą firankę zasłaniającą to, czego kwiaty dość szczelnie nie zakrywały — i

nakoniec: rączkę stokroć bielszą od firanek, która dwa razy dziennie polewała doniczki.

II.

Dla gorącego serca dosyć byłoby tego ostatniego widoku, żeby w niém zapłonęła czysta, prawdziwa miłość.

Domyślacie się zapewne, że pan Jan, jako bohater powieści, musiał mieć serce i to bardzo gorące.

Posiadał przytém swoje własne dwadzieścia jeden lat, był niezależny i chęć użycia życia, z którém nie wiedział jeszcze co robić.

W tém miejscu spostrzegam się, piękne moje czytelniczki, że poruszając niedowierzająco główkami, robicie mi nowy, choć tylko pozornie słuszny, zarzut:

„Jak można zakochać się w maleńkiéj, białéj rączce, u nas w Polsce, gdzie rączki takie nie są wcale osobliwością? Gdybyż to jeszcze w Niemczech albo w Rosyi!"

Pospieszam więc z usprawiedliwieniem mojego bohatera.

Pan Jan wychował się w domu swéj babki na wsi, gdzie z przedstawicielek płci pięknéj, oprócz staréj gospodyni Barbary i trzech dójek: Kachny, Marysi i Agaty, żadnéj innéj nie widział. A że ani Barbara, ani owe trzy panny od krów nie były nigdy właścicielkami białych, drobnych rączek (jak się łatwo domyśleć), więc dla pana Jana była rączka z vis-à-vis niezwyczajną osobliwością.

Dla miłości prawdy dodać muszę, że oprócz wzroku i zmysł słuchu pana Jana został również zaatakowany.

Co wieczór bowiem, gdy słońce majowe ustępowało miejsca majowemu księżycowi, piękna właścicielka białéj rączki, akompaniując sobie na fortepianie, śpiewała piosenki Komorowskiego i Radwana.

A głos jéj, przez nieprzejrzystą firankę, przez wonne kwiatki i maleńki, rozdzielający dwa domy ogródek, ginął w sercu pana Jana, budząc w niém nieznane dotąd, rzewne, melodyjne echa.

Czyż potrzeba więcéj, aby zakochać się w dwudziestu leciech?

III.

Zkąd wiadomość, że nieznajoma była piękną, kiedy jéj dotąd nikt nie widział?

Sprawiedliwe pytanie — ale i odpowiedź nie trudna.

Bo i dla czegoż nie miałaby być piękną?

Na poparcie zaś słów moich, daję słowo honoru autorskie, że znałem ją osobiście; dwa razy mogłem się jéj ukłonić na ulicy — raz spotkałem wychodzącą z kościoła, a trzy razy z magazynu Włodkowskiéj — wiem przeto jakie miała oczy, jakie włosy, jakich materyj na suknie używała, wiem nawet, że buciki brała tylko u Majewskiego pod teatrem.

Ale dla nas po co te wszystkie wiadomości — dosyć że była piękną — nie tak piękną jak ty powabna czytelniczko — o nie! zupełnie w innym guście — ot, tak, ile potrzeba na bohaterkę powieści.

IV.

Pan Jan o tém wszystkiém nie wiedział — a jednak uwierzył w jéj piękność — prawda, że miał dwadzieścia jeden lat i był zakochany.

Gdy dla was przyjdzie ta słodka chwila — nie dwudziestu jeden lat, broń Boże! ale pierwszéj miłości — nie będziecie mu się dziwić.

Kochał i miał wzajemność.

Jakim sposobem doszedł do tego przekonania — wybaczcie — ale nie powiem.

Wkradanie się w tajniki serc dwojga zakochanych, jest więcéj jak prostą niedelikatnością.

Powieściopisarze w ogóle nie bywają tak skrupulatni, to prawda — ale co do mnie —

Nie umiem kłamać, czyli polityczniéj mówiąc, nie umiem pisać o tém, co tylko z domysłów wiedzieć można.

Jeden pan Jan mógłby dokładnie to opowiedzieć, ale nie byłem z nim nigdy w zbyt ścisłych stosunkach, zwierzeń żadnych nie robił przedemną.

V.

Za trzy tygodnie milczącego uczucia zyskać wzajemność, trzeba być na to szczęśliwym bohaterem powieści.

Pan Jan umiał oceniać to szczęście i starał się bliżéj poznać idealną współbohaterkę.

Starał się i na tém koniec.

We dnie oprócz rączki, nic więcéj dojrzeć nie mógł — wieczorem głos zastępował rączkę i osobę, a gdy raz błagał usilnie niewidzialną, aby choć przypadkiem ukazała się jego stęsknionym oczom, za całą odpowiedź siadła do fortepianu i zanuciła półgłosem:

„Ona się śmiała“.

Znacie zapewne tę uroczą piosenkę, wiecie więc ile szyderstwa mieści się w niéj dla biednych zakochanych.... chłopców.

Naprożno całemi godzinami wyczekiwał na ulicy, aby zaczarowana brama tajemniczego domu ziściła jego pragnienia — brama jak zaklęta nie otwierała się nigdy.

W towarzystwach, na spacerach, naprożno upatrywał pomiędzy pięknościami tego spojrzenia, któreby mu szepnęło:

„To ja jestem“.

Nic i nic — i zawsze nic.

VI.

W ciągu tych bezskutecznych starań w celu zbadania tajemniczego bóstwa, pan Jan otrzymał kilka listów od swéj babki.

Wszystkie one były jednéj treści: „przybywaj drogi mój Jasiu jak najprędzéj — chciałabym widzieć cię ustalonym — znalazłam żonę dla ciebie“.

Pan Jan rzucał je wszystkie, prawie nie czytając, do kosza.

VII.

Upłynęło znowu kilka tygodni, nie przynosząc żadnéj zmiany w życiu naszego bohatera, (bo zmianą nazwać nie można ciągle wzrastającéj jego miłości); gdy jednego dnia powróciwszy z obiadu, znalazł na otwartém oknie od strony ogródka naparstek, a w nim maleńką kartkę.

Karteczka zawierała kilka słów tylko:

„Dziś w Saskim ogrodzie — w głównéj alei“.—

Naparstek był jakby podpisem — i dopełnieniem tego rozkazu, bo nosił na sobie napis: Wanda.

Czy i ile razy pan Jan ucałował te dwa nieocenionéj wartości skarby, zostawiam domysłowi czytelniczek.

VIII.

Saski ogród przepełniony był publicznością; przeszło trzydzieści tysięcy osób pospieszyło wziąść udział w zabawie przeznaczonéj na wsparcie pogorzelców Piotrkowa. Ścisk, zwłaszcza w głównéj alei, był niezmierny. Pan Jan przeciskał się z trudem wśród tłumów, oczekując jakiegoś widomego znaku, któryby mu w żywéj postaci ukazał ubóstwianą bogdankę — i czekał dość długo. O późnym zmroku dopiero, gdy już gdzieniegdzie zapalano lampy różnokolorowe, gdy pan Jan zwątpił już prawie o możliwości spotkania, ktoś trącił go zlekka w ramię i znanym mu dobrze głosem szepnął:

„Do zobaczenia“.

Jakkolwiek szybko odwrócił się pan Jan, aby ujrzeć swego anioła, już było zapóźno. Zdołał tylko dostrzedz biały gazowy welon przy okrągłym kapelusiku i nic więcéj. Anioł porwany wirem znikł w tłumie.

— Byle ją ujrzeć! zawołał zrozpaczony — i rzucił się w zbite masy, kierując się w stronę, w któréj ulotniło się jego widziadło.

Na nieszczęście w dniu tym znajdowało się kilkaset takich samych welonów i kapelusików, a gdym około północy opuszczał Saski ogród, widziałem jeszcze pana Jana uganiającego się za białą marą.

IX.

Nazajutrz zmęczony i znużony pan Jan obudził się dość późno — zaledwie się ubrał, pobiegł do okna, i o dziwo! naprzeciwko okno otwarte, firanki nie ma, pokój pusty, a z doniczek ostatnią już ogrodnik jak swoją własność zabiera. Na ten widok opuściły go siły — dowlókł się zaledwie do łóżka, zdążył jeszcze zadzwonić i stracił przytomność.

Mieszkałem obok — na pierwszą wiadomość przybiegłem do chorego i wezwałem lekarza — pan Jan majaczył dzień i noc całą. Nad ranem nastąpiło przesilenie — niebezpieczeństwo minęło. W parę dni późniéj nadszedł list od babci:

„Niedobry jesteś mój Jasiu, żeś mi nawet nie odpowiedział na poprzednie listy — ale młody jesteś i wśród wesołéj Warszawy mam cię za wytłómaczonego. Dziś nie odpisuj mi, tylko bierz pocztę i przyjeżdżaj zaraz. Narzeczona czeka na ciebie“.

Pan Jan po przeczytaniu tego listu wzruszył tylko ramionami, zawołał służącego, kazał mu rzeczy pakować — i siadając do dorożki rzekł mi na pożegnanie:

— Jadę spełnić wolę babki — jeśli jéj nie mam już ujrzeć, wszystko mi jedno, z kim się ożenię.

X.

Dwór babki pana Jana położony na wyniosłym brzegu Bugu, wspaniale panował nad rozległą okolicą. Zmrok już był, gdy nasz bohater wjeżdżał w niedługą topolową aleję, prowadzącą wprost przed ganek — jednocześnie od dworu lekki powozik skręcał ku rzece — w powozie siedziała młoda jak się zdawało kobieta, w okrągłym kapelusiku z białym welonem. Panu

Janowi zabiło gwałtownie serce, wyskoczył z bryczki i nie witając się z babcią, która czekała nań na ganku, zawołał:

— Babciu droga! kto tam pojechał?

— Nie udawaj, bałamucie jakiś.

— Ależ babciu, na miłość Boga, kto to jest, powiedz mi!

— Filucie! znacie się doskonale — wszak to twoja sąsiadka z Warszawy, a teraz z za Bugu, Wandzia .... nicka. Zobaczysz ją jutro.

— Dziś — dziś — zawołał — dziś jeszcze widzieć ją muszę.

XI.

Nie słuchał dalej — wpada napowrót na bryczkę, chwytając lejce, i co koń wyskoczy popędził ku rzece. Biały welonik siedział już w łodzi, przewoźnik odwiązywał linę.

— Wstrzymajcie się — zawołał pan Jan.

— Odbijajcie — zawołała chichotając panienka i starannie zakrywając twarz.

Łódź odbija, pan Jan nie waha się — kilka kroków tylko od brzegu — przeskakuje tę małą przestrzeń, chybia i upadając w wodę chwyta się łodzi — łódź się przechyla — jeden krzyk przeciągły,... cisza nocna i głębie Bugu zakończyły powieść.

XII.

Późno już w nocy, zdala od tego miejsca odszukano topielców — Jan trzymał w objęciu Wandzię — kochankę, którą los pozwolił mu przed śmiercią uścisnąć, ale nie pozwolił zobaczyć.

Kronika. Niezwykłym napływem gości cieszy się Kraków w obecnym czasie. Jedni w przejeździe z wód do domu, zaledwie się nam pokażą i znikają, a co gorsza, zdarza się, że nieraz magnetycznym łańcuchem ciągną za sobą niewolników, których w przejeździe przez Galicyję nabrały. Za to inni goście stale u nas osiedlić się zamierzają. Są to po większéj części emigranci, którzy sobie wyrobili lub wyrabiają prawo pobytu u nas. Pożal się Boże nad nimi! Ludzie ci po większéj części wykształceni, ze specyjalnemi zdolnościami, z ochotą do pracy nabytą w twardéj szkole tułactwa, porzucają obce strony, aby krajowi służyć, a za to rodzinnêm powietrzem oddychać i nie więdnąć wśród obojętnych tłumów i ścisku za granicą. Tymczasem cóż się dzieje? Oto w kraju spotyka ich obojętność daleko cięższa jak za granicą — bo od swoich — unikają ich jak zapowietrzonych, nie ma dla nich miejsca, ani schronienia, listów rekomendacyjnych nie chcą nawet od nich odebrać (to fakta)! Zawiedzeni i zwątpiali snują się po ulicach, a rozpacz i głód na ich twarzy. Konieczność zmusza ich aż do żebrania, chcieliby uzbierać co grosza, aby opędzić podróż z powrotem między obcych. Nie ma biura, redakcyi i t. p., żeby ich tam codziennie kilku nie było. Pożal się Boże nad nimi, ale i nad nami. Boć my biedni jesteśmy, wszakżeż nie mamy skarbów; wszakżeż nie wyrzucamy grosza na żadne próżne sprawy, festyny, igraszki; to i zkądże wziąść nam chleba i pracy jeszcze dla drugich. Wprawdzie to niby wstyd, że na budżecie angielskim i francuzkim stoją rokrocznie tysiące na wsparcie emigracyi — ale trudna rada; widać że oni tam mają pieniądze. U nas budżet krajowy i prywatna kieszeń nie wystarcza na własne potrzeby. Boć przecie niepodobna, żebyśmy sobie najkonieczniejszych rzeczy odmawiali, przecież musimy jakotako wyglądać i ubrać się nanowo w kontusze i karabele, posprawiać konie i przypomnieć sobie, żeśmy kiedyś umieli jeździć. Na żadne zbytki, książki, gazety, stowarzyszenia wcale nie wydajemy. — Obliczywszy wszystko razem, pokaże się, że tak jak w polityce, tak i co do finansów właściwie od obcych monarchów jedynie może nam przyjść zbawienie, bo sami nie mamy na to głowy. Tymczasem nie zawadzi wspomnieć nawiasem, że są miasta, w których Panienki nasze wspólnêm usiłowaniem, zarobkami rozmaitemi zbierają grosz i zasilają nim naukowe zakłady emigranckie. Jakośby to może i nie było od rzeczy, żeby i Krakowianki o czémś podobnêm pomyślały; może i komitet złożony z Pan dla ułatwienia w poszukiwaniu miejsc i pracy dla emigrantów i Sybirczyków byłby w porę, i niby nie kosztował prócz trochę dobréj woli i czasu. A dlatego komitet z Pań, raz, że ich wstawienie się i zabiegliwość zawsze więcéj znaczy, a potém, że mężczyźni nie mają przecież czasu dźwigając losy ojczyzny na swoich barkach — i są nawet tym ciężarem tak przygniecení, że i na krok ruszyć nie mogą. — Spodziewamy się, że te uwagi kronikarskie nikogo nie zgorszą, ani zadziwią; boć przecie, jeżeli wolność, to dla wszystkich. — Komu ochota, niech paraduje i błyszczy szychem i tańcuje i pieszo i konno — a kronikarzowi niechże także wolno będzie pozrzędzić, i cienko zaśpiewać i przypomnieć od niechcenia Baltazarowe: *Mane, tekel, fares!*

Pomiędzy gośćmi należy nam téż wspomnieć o dziennikarzach i literatach, którzy się zjechali do Krakowa na kongres — nie wojenny, ani pokojowy — ale swój. Radzili o biedzie, o założeniu stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, o urządzeniu ogólnego zjazdu, a między innemi i o pisowni. Otóż aż do dalszego załatwienia téj sprawy, przyjęło 9 dzienników tymczasowo pisownią p. Małeckiego — któréj odtąd trzymać się będziemy.

Na zebraniu têm był i jeden dziennikarz z Warszawy — p. Arkadiusz Kleczewski, redaktor „Kurjera świątecznego“.

Zresztą z miejscowych wydarzeń nie wiele jest dzisiaj do zapisania. — Kasyno literackie łączy się z resursem miejskim — układ przyjęty przez zarządy, będzie przedłożony sejmom — tj. walnym zebraniom. — Znakomita artystka nasza p. Modrzejowska połączyła się węzłem małżeńskim z p. K. Chłapowskim, na czém o ile wiemy, teatr nic nie straci. — „Muza“ połączyła się z szczątkami dawnego „Liedertafel“ — możemy więc i dzisiaj tak jak w poprzedniéj kronice zapisać, że panuje gwiazda zgody i miłości! — Teatr nasz rozpoczął już przedstawienia z nowemi siłami — o czém następnie.

Mody na październik.

Opis ryciny.

Strój spacerowy: **Suknia półdługa z zielonéj tafty**, obszyta dołem szeroką falbaną, któréj brzeg ozdobiony jest wstawką czarną koronkową, na przyszyciu falbany jest słomiana lub jedwabna krepinka. Suknia krótka z czarnéj mantyny, obszyta dwa razy wstawką czarną, pod którą podłożony jest pasek z zielonéj tafty; krajami wstawki jest krepinka słomkowa lub jedwabna. Dół téj sukni zakończa frandzla słomkowa lub jedwabna. Stan zielonéj sukni okrywa mantylka czarna wraz z okrągłą szarfą spadającą w tyle, obszyta wstawką, krepinką i frandzlą. Pasek zakończony w tyle fontaziem przytrzymuje końce mantylki z przodu. Fontaż z końcami

długiemi podpina w tyle spodniczkę czarną, takiż fontaż podpina szarfę okrągłą od mantylki w tyle. **Czarny koronkowy kapelusz** ubrany różami, uzupełnia strój.

Druga osoba nosi **suknią z bronzowego tybetu**. Spodnica pierwsza obszyta dołem dwoma rulonami z brązowego atłasu. Wierzchnia spodnica jest z przodu krótka, z tyłu długa, obszyta w koło dwa razy rulonem atłasowym i franzlą z brązowego jedwabiu: w tyle podpięta zapomocą chaftek przyszytych do wierzchniéj i do spodniéj spodnicy. **Mantylka „Baszlik“** z przodu na krzyż szarfy przełożone, w tyle fontaziem spięte. Obszyta jest taką frandzlą jak wierzchnia spodnica. Toczek czarny z niebieskiém skrzydełkiem.

Opis krojów.

Strona I.

Fig. 1—6. **Krój paletota „Garick“.**

Fig. 1. Przód, „ 2. Boczek — znaki: ✻ ✻ ✻ | Fig. 3. Plecy, „ 4. Rękaw — znaki: ×•×•×•

Fig. 5. Peleryna ○×○×○ — Fig. 6. Kołnierzyk ○×○×○×

Każda część kroju tegoż paletotu kraje się podwójnie i stósownemi głoskami oznaczone części ze sobą się zeszywają. Plecy (w stanie) układają się w głęboki fałd, który trzeba grubym jedwabiem odznaczyć, stan przestębnować. Dołem nie zeszywa się zupełnie paletocik, tylko dotąd jak głoski na kroju oznaczają. Peleryna kraje się podług kroju w całości, koło szyi daje się mały kołnierzyk. Cały paletot lamowany jest czarnym atłasem.

Paletot „Alabama“.

Fig. 7. Przód, Fig. 8. Plecy — znaki: — — — — —.

Fig. 9. Peleryna. ————————

Przykroiwszy każdą część tego ubrania z przeznaczonéj materyi podwójnie, zeszywa się je podług oznaczonych głosek i wycina się w koło w zęby graniaste lamowane czarną taśmą. Takaż taśma obszyta jest na około paletota i peleryny. Każda część peleryny formuje rękaw przyszyty podług głosek F—G. Szew peleryny do paletota przykryty jest taśmą czarną. Stósowne rękawy męzkie można użyć do paletota „Garick“ Fig. 4.

Sukienka dla dziewczynki od 2—3 lat.

Fig. 10. Przód. Fig. 11. Boczek do przodu — znaki: —•—•—•

Fig. 12. Boczek do plecek, Fig. 13. Plecy, Fig. 14. Rękaw — znaki: • • • • • •

Każda część sukienki kraje się podwójnie z piki lub flanelki — boczki podszyte są perkalem i podług głosek razem zeszyte. Z przodu wyszywa się desenie szutaziem, lub inną krepinką, albo pliskami z mantyny lub atłasu.

Druga strona arkusza.

Płaszcz dla panienki 10—12 lat.

Fig. 15. Przód, Fig. 16. Plecy, Fig. 17. Rękaw, Fig. 18. Peleryna — znaki: ×•×•×•×•

Kraje się każda część podwójnie z sukienka popielatego, podług głosek się zeszywa i cały płaszcz w koło wypustką obszywa. Guziki z boków podpinają go w kilka fałdów. Peleryna w tyle podpięta fontaziem lub rozetką ze wstążki.

Paletot „Epingle“.

Fig. 19. Przód, Fig. 20. Boczek do przodu — znaki: ×○×○×○

Fig. 21. Boczek do plec, Fig. 22. Plecy — znaki: ×—×—×—.

Fig. 23. Peleryna — — — —.

Fig. 24. Kołnierzyk, Fig. 25. Rękaw, Fig. 26. Szarfa w tyle — •—•—•—•

Każda część podwójnie z cienkiego korciku ukrojona zeszywa się stósownemi głoskami do siebie, wyjąwszy zeszycie plec od H. do H. gdzie się robi głęboki fałd. Fałd ten robi się dopiero wtedy, gdy już peleryna jest przyszyta, i przez jéj dolną część można fałd przesunąć. Zeszycie fałda przykrywa długa szarfa suto frandzlą ubrana. Stojący kołnierzyk, oraz brzegi paletota lamowane są brązowym atłasem, obszyte frandzlą z kutasików, nad którą jest fałdowany garnirunek z brązowego atłasu.

Talma ze szarfą.

Fig. 27. ~~~~~~~~

Jeżeli się ją robi z materyi lekkiéj np. z tybetu, to musi być podszyta. Ukroiwszy ją podwójnie zostawia się rozcięcie tak, jak na kroju jest oznaczone w tyle i z boków. Gdy już cała Talma jest ogarnirowana, wtedy te rozcięcia we fałdy się układają i paskiem zakończonym w tyle szarfą, na około stanu przypasują. Przody spadają na wierzch paska, przez co formują rękawy.

Paletot „Bienvenu“.

Fig. 28. Przód, Fig. 29. Boczek — znaki: × × × ×.

Fig. 30. Plecy, Fig. 31. Rękaw — znaki: —×—×—×—.

Przy krajaniu trzeba bardzo uważać na równe zacięcia. Gdy już wszystkie części podwójnie są ukrojone i plecy w tyle zeszyte i rozprasowane, zeszywa się podług kroju w tyle w skos i formuje kapiszon. Cały paletocik ubrany jest garnirunkiem z atłasu, nad którym jest drugi z téj materyi co paletot zrobiony, lamowany brzegami atłasem, kieszenie obszyte garnirunkiem, koło szyi ząbki lamowane atłasem, oprócz tego są jeszcze guziki i kutasiki szmuklerskie.

Sukienka dla chłopca 3 letniego.

Fig. 32. Przód, Fig. 33. Boczek do przodu — znaki: — — — — —

Fig. 34. Boczek do plec, Fig. 35. Plecy, Fig. 36. Rękaw — znaki: • • • • • •.

Przód sukienki kraje się w całości i podług znaków z przodu guzikami ubiera. Wykład z przodu jest tylko na sukience przyszyty i podług zarysów na kroju atłasowemi pliskami obszyty. Wszystkie części łączą się z sobą podług głosek, i krają się o ile potrzeba wymaga podwójnie.

Wydawca Szczepański Alfred Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c.— ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.
We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.